

# Przybyli, a wcale ich nie ma

**Napisany w 2012 r. dramat Elfriede Jelinek o uchodźcach odsłania dziś w Polsce nowe sensy.**

**„Podopieczni” to rzecz o fantazjach i lękach tych, którzy czują się zagrożeni.**

WITOLD MROZEK

„Najtrudniejszym zadaniem człowieka jest podążanie za tym, co się zmienia” - tym mottem z Pasoliniego Paweł Miśkiewicz (reżyseria) i Joanna Bednarczyk (dramaturgia) wieńczą swoich „Podopiecznych” według Elfriede Jelinek. To spektakl o tym, że Europa musi się wymyślić na nowo.

Jelinek jak Bernhard należy do tych austriackich pisarzy, którzy nigdy nie przestali oskarżać ojczyzny o wypierany faszyzm. Jednak jej dramat po czterech latach od napisania odsłania nowe sensy. Nie jest tylko rozrachunkiem z austriacką czy polską ksenofobią. W kraju, gdzie kryzys uchodźczy bez uchodźców skalą dawno przebił antysemityzm bez Żydów, słyhać wyraźnie, że Jelinek opowiada nie tyle o realnych ludziach przepływających morze w poszukiwaniu bezpieczeństwa, ile o fantazjach i lękach tych, do których mówi ze sceny i którzy czują się zagrożeni.

Na scenie pontony i kamizelki ratunkowe. Z boku - przenośna toaleta jak w obozach przejściowych na Bałkanach czy greckich wyspach. Między tym wszystkim strugi wody, wśród których aktorzy będą się ślizgać, brodzić, skakać - jak w przedstawieniach legendy teatru tańca Piny Bausch. Tak jak one spektakl Miśkiewicza - z muzyką na żywo, pełen polifonicznych sekwencji - to dzieło gęste i totalne. Nastrój i obrazy z trzygodzinnego seansu długo zostają w głowie.

„Nie jesteśmy tu wcale obecni. Przybyliśmy, ale wcale nas nie ma” - powtarza splot głosów i ciał ze sceny Starego Teatru.

W „Podopiecznych” Jelinek mówi „sprawdzam” tzw. europejskim wartościom. Widma uchodźców ironicznie powtarzają frazę o pokojowym współżyciu. Entuzjastycznie wykrzykiwanym „chcemy!” potwierdzają wolę znalezienia się na wspólnym kulturowym fundamencie - by zaraz pytać, czy na pewno wszyscy się na nim zmieścimy.



ANNA HRUSZKA/TEATR STARY

**Krzysztof Globisz przyjmuje gratulacje po premierze**

„Podopieczni” napisani są w sposób charakterystyczny dla ostatnich sztuk noblistki. To raczej obszerne fragmenty prozy niż to, co kojarzymy jako „dramat” - z akcją czy postaciami. Niepodzielona w zapisie na głosy mieszanina strzępów biografii, artykułów, materiałów informacyjnych i propagandowych.

Na scenie Starego rodzi się z tego pisarstwa nie chór postaci, ale zbiorowość. Może nawet zbieranina, tyle że perfekcyjnie zorkiestrowana przez Miśkiewicza i zagrana przez aktorów i aktorki Starego Teatru.

Z gęstwiny na chwilę wylaniają się indywidualia, np. Jan Peszek, nielegalny imigrant spoglądający bezradnie na morze. Od dzieciństwa fantazjował, że ratuje tonącą, ale gdy okazja się nadarzyła, uświadomił sobie, że nie umie pływać. Parę chwil później Peszek to już pseudointelektualista wygłaszający mętne teorie, nijak niepasujące do rzeczywistości wokół, służące tylko jej zagadywaniu.

Migotliwe postaci Ewy Kaim, Jaśminy Polak, Marty Ścisłowicz wykonują przerysowane gesty podrywania gardła i ucinania głowy. To czeka muzułmanów, którzy okażą się nie dość pobożni dla fanatyków w ojczyznach. Tego też Europejczycy boją się u siebie.

Aktorzy odgrywają nie tyle konkretne indywidualne postaci, nie tyle nawet typy, ile lęki i fantazje. Drobnym, eterycznym blondynem Bartosz Bielenia

wciela się w agresywnego nadsamca z Maghrebu rozpaczliwie napastującego pogrążoną w jakiejś katatonicznej ni to grozie, ni fascynacji Martę Nieradkiewicz.

„Podopieczni” to powrót Krzysztofa Globisza na scenę Starego Teatru. Aktor, który w lipcu 2014 r. doznał udaru mózgu, cierpi na afazję i od wielu miesięcy przechodzi rehabilitację. Wciąż imponująco panuje nad sceniczną ekspresją ciała, choć mówienie przychodzi mu z trudem.

Krakowski spektakl zwodzi widza, gra z sentymentalizmem. Miśkiewicz operuje szybkimi cięciami. Porywa widzów wygłaszanym do dźwięków „Pasji wg świętego Mateusza” Bacha podniosłym monologiem Globisza, by od razu obśmiać potrzebę wzruszenia - aktorzy klaszczą przerywając spektakl oklaskami publiczności. „To tego chcecie” - rzuca widzom Szymon Czacki.

Dramaturżka Joanna Bednarczyk przeplata strumienie słów Jelinek komicznymi scenami - w antrakcie np. rozsądni przedstawiciele europejskiej klasy średniej wypożyczający na wyspie Lesbos wyrażają podziw dla Viktora Orbána (bo jedyny „coś robi z tym problemem”), by po chwili recytować kretyńskie rasistowskie wierszyki. Choć Bednarczyk skraca tekst Jelinek, to scenę zalewa potok słów. Tu gra się nadmiarem. Z prozy Jelinek, z adaptacji Bednarczyk, ze spektaklu Miśkiewicza płynie niewesoła diagnoza. Za zło tego świata odpowiadamy również my, kulturalni ludzie pijący kawę w kawiarniach, czytający książki i jeżdżący na fajne wakacje - a nie pseudokibic czy neonazista z „celtykiem” na koszulce.

Niedawno Elfriede Jelinek porównała samą siebie do katarynki miedlającej wciąż te same tematy, nie odpuszczającej ani na chwilę zadowolonym z siebie mieszczanom. Taki obraz zamyka „Podróż zimową”, jedną z ostatnich sztuk pisarki, z sukcesem wystawioną przez Miśkiewicza półtora roku temu w Teatrze Polskim we Wrocławiu.

W „Podopiecznych” Miśkiewicz z Bednarczyk idą tym tropem. Zapętłają sceny i wątki. To nie tyle umoralniające kazanie, ile seans terapeutyczny. Niewygodny, ale pozostawiający w uczestniku silne wrażenie i potrzebny. ●